№ 47.

WARSZAWA, DNIA 21 LISTOPADA. 1863 R.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie**, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b.* w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b. dom dawniéj Krzemińskiego.*

ELEKCJA

JANA SOBIESKIEGO.

Kiedy w dniu 10 Listopada 1673 roku dzwony wszystkich kościołów we Lwowie, głosiły smutną wieść o śmierci króla Michała Korybuta, Jan Sobieski znajdował się właśnie pod Chocimem i sposobił do szturmu na obóz niewiernych dobrze oszańcowany i napełniony bitném i licznem żołnierstwem. Dzień więc dziesiąty Listopada był dniem rozpoczynającym żałobę owdowiałéj Rzeczypospolitéj, i dniem wielkiéj trwogi, jako przeddzień bitwy, co miała rozstrzygnąć o tryumfie Polski lub poddaniu jéj w niewolę turecką.

Prymas królestwa Arcybiskup Gnieźnieński, Florjan książe Czartoryjski po odebraniu smutnéj wieści o zgonie króla Michała, uniwersałami zawiadomił o tém województwa i powiaty i doniósł zarazem o swém w rządy wstąpieniu. Stosownie więc do zwyczaju, przedsięwziął środki do wzbronienia przystępu cudzoziemcom w granice Rzeczypospolitéj; nakazał otwieranie listów nadsyłanych z obcych krajów do senatorów, wzbronienie wyprowadzania koni i oręża z kraju, opatrzenie granic, zawieszenie sądów, a otwarcie tak zwanych kapturowych i zaprzestanie wszelkich igrzysk i zabaw publicznych. W pośród tego publicznego smutku i niepewności o przyszłe losy kraju, nadeszła wiadomość o zwycięztwie pod Chocimem, śmiertelną trwogę przemieniła w niewysłowioną radość, a żałobę zastąpiły uroczyste obchody zwycięztwa, od których nawet owdowiała królowa uwolnić się nie mogła. W téj właśnie porze nadeszły do Warszawy zwłoki zmarłego króla, które wystawione do zwiedzania na zamku królewskim, miały tam czekać, aż nowy monarcha tron otrzyma i pod swojém przewodnictwem odprowadzi je na wieczny spoczynek do ostatniego siedliska krolów polskich.

Jednocześnie Sobieski, z męznemi hufcami, znajdował się w największym tryumfie chwały swojéj. Zniszczywszy nieprzyjaciół pod Chocimem, i pogromiwszy 25,000 muzułmanów zalewa-

jących Wołoszczyznę, Hetman wielki stał się panem Jass i Multan i spiesznym marszem podążał ku Dunajowi, gdy Sułtan z Silistrji umykał do Konstantynopola. W dopełnieniu tak wielkiego dzieła, przybyli do obozu polskiego deputowani z Multan i Wołoszczyzny, prosząc o zwierzchników i z oświadczeniem wyparcia reszty wojska tureckiego pod dowództwem kapłana-paszy tułającego się na polach Bulgarji. Doroszeńko dowódzca kozaków powstałych przeciw Rzeczypospolitéj pośpieszył także z oświadczeniem poddania się i powrócenia do posłuszeństwa; w warownym Kamieńcu strwożeni Turcy, wyglądali tylko przybycia wojska polskiego, aby mu wydać to obronne i ważne stanowisko, słowem dla Rzeczypospolitéj uśmiechała się najświetniejsza przyszłość, bo stanowcze wypędzenie Turków z granic kraju, uspokojenie zbuntowanego Doroszeńki i możnośc wzmocnienia i zabezpieczenia się stanowczego od napaści pogan.

W tak świetnych widokach dla przyszłéj pomyślności kraju, do obozu zwycięzcy nadeszła wiadomość o śmierci króla Michała i o ogłoszeniu przez Prymasa bezkrólewia. Zaraz też wodzowie i starszyzna zapominając o wszystkiém, zapominając że jakkolwiek wybór nowego króla jest rzeczą bardzo ważną, ale ważniejszą korzystanie ze zwycięztwa i umiejętne pokierowanie nastręczającemi się wypadkami, zajęli się przyszłą elekcją, kiedy ta nastąpi, kto będzie królem, a kto hetmanem? Sobieski przyjaźny zawsze dworowi francuzkiemu i mając na myśli Kondeusza, radził wybór książęcia doświadczonego w boju, przytém dojrzałego wiekiem, aby miłował pokój i pragnął onego. Pac znów, hetman litewski, niechętny Sobieskiemu i zazdrosny nabytéj przez niego sławy, lękając się, aby naród uniesiony wdzięcznością nie chciał pogromcy Turków ofiarować korony, odrzekł na to znacząco:

— „Wybierzmy przede wszystkiém króla bezżennego, ażeby mógł poślubić wdowę po królu Michale, arcyksiężniczkę austrjacką Eleonorę, bo tym sposobem, oszczędzimy sobie wydatku na utrzymanie wdowy i zachowamy pożyteczne dla ojczyzny naszéj związki z cesarskim dworem."

Wyrzekłszy to, opuścił z wojskiem litewskiém Sobieskiego, a za nim poszły wszystkie województwa. Sobieski z nieliczną pozostał garstką, o czém dowiedziawszy się nieprzyjaciele, natychmiast porzucili pokorną swą postawę: Kapłan-pasza wstrzymał się w odwrocie, Wołoszczyzna wpadła w stan wahania, hospodar multański udał się do Konstantynopola z pokorą i żalem, Turcy w Kamieńcu odzyskali odwagę, a układy z Doroszeńką zupełnie przycichły. Sobieski przepełniony żalem, udał się do Żółkwi do niebezpiecznie choréj żony, nie mogąc pogodzić się z myślą zmarnowania tylu świetnych widoków.

Jakkolwiek wybór króla wolnemi głosami narodu, reprezentowanego przez krocie szlachty, wywołujący w pierwszém swém pojawieniu, podziw i żywe zainteressowanie się całéj Europy, był zgubnym dla kraju, otoczonego państwami organizującemi się w silne militarne monarchje, oparte na dziedziczności tronu, jednak w rozwoju politycznym społeczeństw, ma on wielkie znaczenie, i rzuca jasne światło na całą przeszłość naszych dziejów.

Nie szperając w zbyt zamierzchłych przedchrześcijańskich czasach, w których łatwo przyszłoby wyśledzić warunki społeczne tamto wiekowych pokoleń silnie oddziałujące na rozwój następnych, już pod Piastami korona Polski nie była sukcessyjną, w ścisłém znaczeniu tego wyrazu. Wprawdzie w rodzinie Piastów nieodmiennie pozostawała, ale wybór następcy prawie zależał od możnych, którzy stosownie do swych widoków i przekonań, oddawali temu berło z członków rodziny królewskiéj, którego uważali za najgodniejszego.

I prawo to wyznaczania następcy, już wówczas niepospolitéj musiało być siły, i wrosło w układ całego społeczeństwa, skoro po śmierci Kazimierza wielkiego, wyznaczony przez tegoż następca Ludwik węgierski, w celu zapewnienia tronu Polski dla jednéj z córek swoich, zmuszony był odwołać się do sankcji całego narodu. Zjazd w Koszycach jakkolwiek fortelem przyniósł to, czego Ludwik pragnął i Jadwiga późniéj królowała Polsce, jednak umowa ta monarchy ze znakomitszemi obywatelami kraju, oddała stanowczo przeważny wpływ na wybór króla. Nie poprzestano jednak na tém i zapragnięto zdobyty wpływ rozciągnąć i spotęgować, czyli króla ograniczyć w atrybucjach i ścieśnić jego wolę. Dla zyskania podpory i groźniejszéj siły dla swoich widoków, możni musieli powołać do współudziału w odniesionych na władzy korzyściach, obywateli najniższe zajmujących stanowisko, którzy choć mniéj oświeceni, ale rojąc się tysiącami szabel skorych niezmiernie do dobycia, w masie swéj stanowili potęgę, zdolną szalę w każdym razie przeważyć na swoją stronę. Ztąd to w chęci zasłonienia się od przewagi korony, wykształcił się późniejszy stan szlachecki, jego ogromny wpływ na losy kraju i szczelne zamknięcie się w kółku własnych korzyści. Władza bowiem monarchiczna i możni rywalizując z sobą o przewagę, wyciągały ręce do średnich warstw; chcąc w nich wyrobić dla siebie powolne narzędzie dla swych samolubnych widoków. Widząc to śre-

dnia klassa, naturalnie że podrastała w pychę, która przy braku koniecznéj oświaty, nie dozwoliła zdobywanéj wolności wydać zdrowych i pożywnych dla kraju owoców.

Tak zespoleni możni z całym stanem szlacheckim, kroczyli śmiało w ograniczaniu władzy monarchicznéj, i ścieśniając ją stopniowo przyszli wreszcie do tego, że w roku 1554 Kazimierz Jagiellończyk w Nieszawie, zobowiązał się, ani praw stanowić, ani wojny prowadzić bez zezwolenia już nie możnych, ale całego stanu rycerskiego. Wten czas to zapewne powstało przysłowie: że szlachcic na zagrodzie równy jest wojewodzie, i stan szlacheeki stanął na progu wszechwładztwa.

Żeby jednak utrzymać się na zdobytém stanowisku, a tron pozbawić wszelkich widoków wydobycia się z ciasnych szranek swéj władzy, klassa uprzywilejowana zwróciła się do ludu, który zręcznie użyty mógł stać się wielką podporą dla króla. Za Piastów więc jeszcze zaczęto zmniejszać polityczne znaczenie téj największéj części narodu, i ściesniając ją coraz bardziéj, kassując prawo po prawie, już w r. 1496 przyprowadzono rzeczy do tego, że nie tylko pozbawiono go wszelkiego na sprawy kraju wpływu, ale nawet zagrodzono mu drogę do wydobycia się choć pojedynczemi jednostkami z tak przykrego i niewolniczego położenia.

Elekcje późniejsze coraz szerzéj otwierały podwoje do wszechwładztwa stanu szlacheckiego, każdy nowo obrany monarcha robił przyrzeczenia, których późniéj albo nie mógł, albo nie chciał dotrzymać. Lud zaś coraz niżéj spychany wyosobniał się w narodzie, przechodząc z roli niegdyś działacza politycznego, na prostego widza spraw w górze odbywanych, którym przypatrywał się na przemian ze zgrozą lub ciekawością, a zawsze z nienawiścią dla działających aktorów. I tak przepływały dziesiątki lat, walka stanu uprzywilejowanego z monarchami dążącemi zawsze do podniesienia swéj władzy, wyczerpywała naród z najżywotniejszych soków, i zużywała wszystkie jego zasoby tak moralne jak materjalne na walkę stronniczą: niższe warstwy uprzywilejowane rosły w butę i dumę, oświata nikła, z nią poświęcenie, rycerstwo i rozum polityczny; lud szczelnie zamykał się w sobie, interes warstw wyższych uważając jako przeciwny sobie i szkodliwy, i cala Rzeczpospolita chyliła się do upadku.

Z instytucji więc będącéj koroną wolności obywatelskiéj, wyciągano tylko to, co mogło szkodę przynosić krajowi, a przede wszystkiem zapominano, że monarchę obierano nie dla kogoś, tylko dla siebie, że interes ogółu jest interesem każdego po szczególe, i że ciągnąc wodę tylko na swoje koło, wysuszało się źródło wszelkiéj pomyślności, i z czasem, jak się to stało, mogło wyschnąć do samego gruntu.

Również nie miano na względzie, że postęp w każdém społeczeństwie nieodzowny, wymagał coraz większego rozszerzania kółka uprzywilejowanych, które wydobywając coraz nowsze siły w narodzio, tém skuteczniéj obmyślałoby środki obrony przeciw zewnętrznemu niebezpieezeństwu. Zaniedbanie tego wykopało przepaść, która pochłonęła zarówno uprzywilejowanych, jak poniżonych.

Błędy te wynikłe z braku oswiaty, téj matki wszystkiego dobra na świecie, elekcje przemieniały się wtarg, na którym wszyscy ogólnie i każdy po szczególe jak najwięcéj chciał zarobić. Możni, ponieważ im szło głównie o godności, bogate starostwa i wpływy u dworu mające stać się złotą manną dla ich rodzin i przyjaciół, starali się przyprowadzać każdy swojego na tron kandydata, poglądając na innych z największą nienawiścią. Ogół zaś szlachty, czepiając się dworów magnackich, dzielił się na tyle partji, ilu możnych występowało w szranki elekcyjne, pociągany do nich czapką, papką i szkapką i nadzieją przyszłych promocji. Słowem w czasie elekcji, występowały wszystkie samolubne namiętoości, i przygłuszając głosy serca i rozumu nie skąpo wydobywające się na wierzch zagarniały wszystkie korzyści dla siebie, dając wstrętny obraz całéj tak pięknéj atrybucji narodu. Głosy serca i rozumu pominięte na kartach historji, zniknęły prawie bez śladu i została tylko pamięć złego. Sledzenie tych głosów jest obowiązkiem przyszłych historyków.

Wszystko to, cośmy tu w pobieżnym nakreśllli szkicu, miało się powtórzyć po śmierci Michała Korybuta. Jak tylko więc wiadomość o nastąpić mającéj elekcji rozeszła się po kraju, czyhający na to złote żniwo poruszyli się w różnych zakątkach ziemi polskiéj, a choć wołano o doprowadzenie do końca owoców zwycięztwa chocimskiego, wołanie to możni narodu odtrącili na bok, i zabrali się do korzystania z chwili, która niejednemu mogła całą przyszłość zabezpieczyć.

(d. c. n).

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Tyle już od tak dawnego czasu, mówiono, deklamowano i pisano o kobietach, o ich wrodzonych zdolnościach, wychowaniu, usposobieniu, obyczajach i prawach, że jeżeli płeć brzydka dotąd ich

jeszcze nie zna dokładnie, już podobno na zawsze jéj przyjdzie się pożegnać z nadzieją, żeby to kiedykolwiek mogło nastąpić. A przecież mówimy, deklamujemy i piszemy o naszych tylko kobietach, na które codzień patrzemy, z któremi żyjemy: cóż dziwnego więc, że najbłędniejsze dotąd wyobrażenia piastowaliśmy o piękniejszéj połowie całkiem odrębnéj społeczności, bo wschodniéj, na którą patrzyliśmy zwykle przez czarodziejski pryzmat *Tysiąca i Jednéj nocy*, która nęciła nas nie tylko swojemi wdziękami, ale bardziéj jeszcze tajemnicą, jaką te wdzięki były osłonięte. Że jednak na tym padole płaczu wszystko miewa swój koniec, więc i tajemnica ta przecież raz się skończyła i świéżo wyszłe tu dzieło dwutomowe: *Les secrets des harems*, wydobywa na światło dzienne skrytości, o których się po dziś dzień nikomu zapewne ani marzyło.

Dotąd, skoro mowa była o Wschodzie, mimowolnie zawsze przychodził nam na myśl Byronowski seraj z Don Juana, a nadstawiając ucha, natężonym wzrokiem radzibyśmy przebić zazdrosne kotary, zasłaniające nam tajemnicze przybytki rozkoszy, marzyliśmy o złocie, dyamentach, kadzidłach i kwiatach, słyszeliśmy szmer fontanny, szelest drogich materji, a w głębi półciemnéj komnaty, za gazowym obłokiem, spostrzegaliśmy w aksamitach tonący długi szereg przecudnych hurysek. Z *Sekretów haremowych* dowiadujemy się teraz dopiero, że te wszystkie obrazy są to illustracje do arabskich powieści, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością. Zamiast obrazu, który na słowa „Wschód“ podsuwała nam dotąd wyobraźnia, oglądamy tu dziurawe sufity, przez które kapie woda, podarte portyery, poplamione sofy, nagie mury, po których pająk długie swe sieci rozwiesza, i po godzinnéj takiéj przechadzce przekonywamy się najdowodniéj, że ów raj nasz jest taki, a nie inszy w istocie.

Oprowadziwszy nas po domu, nieubłagana autorka odsłoniętych *Sekretów*, opisuje tego domu mieszkanki, odaliski, owe anioły, które się pod jéj piórem przemieniają w maszkary: jedna ma warstwę różu na końcu nosa, druga na brodzie; ta maluje sobie nożdrza tuszem, owa cała indygiem umazana, wygląda jak choleryk po śmierci. Inne, nie poprzestając na brwiach zakreślonych pędzlem natury, przedłużają je sobie linją prostą na dół aż do połowy twarzy: słowem, oblicza owych pięknych Turczynek są jakby karnawałowe maski, odstraszające wszelkie boże stworzenie.

Zrazu, czytając ten zresztą zupełnie wiarogodny opis, nie mogliśmy pojąć, jak kobieta, istota najbogaciéj instynktem piękna przez naturę uposażona, może się tak szpecić, nawet w stanie dzikosci. Zagadkę tę rozwiązuje nam *Sekret haremów*, zapewniając, że w całym seraju nie masz ani kawałka zwierciadła: jedyném więc lustrem odaliski są oczy jéj towarzyski, i żeby się upiększyć, fawotyra musi iść ślepo za jéj radą, zdać się na jéj dobrą wiarę, a Mahometowi jednemu wiadomo, jaka to jest dobra wiara u wiecznie kłócących się rywalek w haremie! Nie trzeba zresztą nawet być prorokiem, żeby o tém wiedziéć. Znałem kiedyś pewnego ojca, starego wiarusa legionistę, co wzdłuż i wszerz przeszedł Europę; otóż doświadczony ten ojciec powtarzał zawsze ubierającéj się na bal córce: „Jeżeli ci kobiéta powié, że ten kwiat, co go masz na lewém uchu, przystaje ci do twarzy, to odepnij go zaraz i przypnij na prawo!“

Powietrze paszowskiego haremu, jak się w dalszym ciągu dowiadujemy z téj książki, nie jest ani wonne, ani nawet czyste; kadzideł, które w wyobraźni naszéj wiecznie tam dymiły się ze złotych trójnogów, nie ujrzy nigdzie; szyby kolorowe, przez które wyobraźnia nasza zaglądała do tych zakątków zbytku i rozkoszy, zastępuje zwykle napuszczony tłuszczem papier; owe zaś dywany perskie, po których w myśli chociaż zwyczajny syn zachodu lubił się tarzać, są to podarte i poplamione dery, gdzie widocznie siedzi jé, śpi, leży, nocuje i biesiaduje gromada niechlujnych dzieci i kobiet bezdusznych.

Wpadając z niespodzianki w niespodziankę, czytamy następnie, że jak okrzyczane zbytki, tak i zbrodnie wschodnie należą do *Tysiąca Nocy i Jednej*. Słynne okrucieństwo mężów tureckich jest wierutnem kłamstwem; nie masz na świecie wolniejszéj kobiety, nad Turczynkę. W europejskiém miescie każdy zazdrosny mąż może wypatrzyć niewierną żonę, idącą na schadzkę; pozna ją po chodzie, po okryciu, po kapeluszu. Turek przejdzie sto razy koło swojéj żony na ulicy i nie domyśli się, że ten wańtuch burnusów i rańtuchów ukrywa jego ulubioną. W ubiorze bez formy, z twarzą zakrytą nie koronką; ale płótnem, huryska jest bezpieczna jak Wenecjanka w karnawałowym dominie, a wolna w swojém wełnianém więzieniu, chodzi wszędzie gdzie chce, i z awantur miłośnych może wybierać, które się jéj najlepiéj podobają. Mąż Turek zaś nie tylko nie jest okrutny dla żony, ale ze wszystkich zwierząt domowych, dla których dobroć jego jest znana, ją najłagodniéj traktuje. Jeżeli kapryśna, zła, lub niesforna, mąż na wszystkie jéj wybryki odpowiada, podnosząc oczy ku niebu: *Allach Kersin*! i na tém kończy się jego reprymenda.

Taki Wschód nigdy zapewne nie objawił się

w marzeniach pięknych moich Czytelniczek; wyznaję, że i dle mnie była to nowość najzupełniejsza. Ale idźmy daléj, bo nie jesteśmy jeszcze u kresu rozczarowań.

Właściciel haremu, ów pasza lub mufty, jest także osobą, którą obejrzéć musiemy. Zazwyczaj szczęśliwy posiadzcz tych skarbów ma lat około 80, co nie przeszkadza, że przyjmując gości piastuje na ręku ostatnie swoje niemowlę. Jeżeli go spytasz, ile ma dzieci? odpowiada, że Bogu tylko wiadoma ich liczba; jednakowoż sądzi, że ich ma ze sto przynajmniéj. Skoro dziécię tak się odchowa, że może opuścić harem, tenże ojciec co je piastował, pisze list rekomendacyjny do jednego przyjaciela i wraz z pismem wyrzuca dziecko za drzwi, poruczając dalszą karjerę syna Prorokowi, w którego łaskę tak dobrze ufa, że nigdy więcéj się się o krew swoją nie spyta. I wierz-że tu potém w Patrjarchów!

Czasami zdarza się, że zawita w dom jakieś indywiduum w czerwonym fezie i mieni się być synem gospodarza.

— „Być może, odpowiada tenże, siadaj i odpocznij sobie!"

Stary Turek wówczas ugaszcza młodzieńca, ale go się nie pyta, ani co robi, ani czego nie robi, ani co go sprowadza. Pobawiwszy dni parę, syn powraca zkąd przyszedł. I to się zowie na Wschodzie miłością rodzicielską.

Straciliśmy już złudzenie co do patrjarchów, haremów, hurysek, żon zaszywanych w worki i zazdrosnych mężów: czeka nas jeszcze rozczarowanie w sztukach pięknych. Jeżeli uniknąć go chcecie, nie czytajcie następującego opisu wdzięków sławnéj baletnicy *Zubejdehy* gwiazdy choreografji tureckiéj, która tańcem swym zachwycała wszystkie satellity syna słonecznego. Waży ona przynajmniéj ze 160 funtów; ciało jéj, nie podparte ani kośćmi, ani gorsetem, napełniało dowolnie obszerne odzienie; twarz ma tak zamazaną dwudziestą kolorami, że cery jéj odgadnąć niepodobna. Tylko oczy pozostały naturalne i zaprawdę nie każą żałować zniknienia reszty; oczy Zubejdehy byłby Homer przyrównał do wołowych, których źrenica czerwono-czarniawa pływa w żółtawém, krwistemi żyłkami porysowaném białku.

Mieszkańcy Stambułu przecież rozpływają się, widząc skaczące przed sobą te 160 funtów mięsa, wprawione w ruch mocną dozą gorzałki; przy téj bowiem okazji dowiadujemy się, jakby od niechcenia, że Turcy nie gardzą wcale wódką, i że trzeźwość ich także jest jedną z owych illuzji, które po odsłoniętych *Tajemnicach haremów* podobno teraz już wypadnie porzucić.

Paryż, d. 14 Listopada.

*

Meksyk pod władzą Hiszpanów.

(Dalszy ciąg).

Rozważając historję podbicia Meksyku, widocznie przedstawiają się wypadki w niéj daleko większemi nad pospolity zakres, że nawet cudowność łączy się z pasmem różnorodnych przygód. Smiały awanturnik wypływa z wyspy Kuba i ma 553 żołnierzy, 110 majtków, 16 koni, 13 muszkietów, 32 łuczników, 10 armat i 4 szmigownice; z tak szczupłemi siłami uderza na państwo zamieszkałe przez naród odważny, którego monarcha może wyprowadzić do boju miljon żołnierzy. Kortez, zniewala ten naród do wyrzeczenia się dawnéj wiary i zwyczajów, półtrzecia roku wystarczyło mu na wykonanie takiego dzieła. Główny bohater tego podboju Kortoz, nie uwodzi się samą tylko rządzą łupów, władzy i sławy. W całém jego postępowaniu odbija się to silne przekonanie, że walczy za tryumf religji, i to zaufanie, że Bóg doprowadzi go do zwycięztwa.

Ludność krajowa godna politowauia z powodu jéj smutnéj i cierpliwéj uległości po upadku dawnego rządu, niezmiernie wiele ucierpiała przez chciwość i srogość pierwszych zdobywców i następnych osadników. Zgubiono ją, spodlono, i już jéj nie można było podźwignąć. Ludzie którzy po dokonaniu podbicia, rzucili się na Meksyk, byli łakomi, zuchwali i nie wzdragający się użycia gwałtu tam, gdzie szło o zaspokojenie ich żądzy.

Ponieważ krajowcy byli jeszcze poganami, uważano ich przeto, jako ludzi wyjętych z pod opieki prawa, obchodzono się z niemi bez względu i miłosierdzia podług najsurowszego prawa wojny Obarczano ich ciężarem pracy przechodzącym ich siły, porywano z wiosek i przeprowadzano w góry, gdzie było złoto i srebro i zagrzebywano ich w kopalniach. Ta myśl, że ci nieszczęśliwi są ludźmi i bliźniemi naszemi, nie powstala w tym pierwszym napływie osadników. Zaprowadzono zgubny system *rozdzielania,* który zależał na rozdzielaniu mieszkańców między Hiszpanów, jak trzody wołów i koni. Była to czysta niewola bez żadnéj opieki i zastrzeżenia. Okrucieństwa i nadużycia w prędkim czasie wytępiły plemię krajowców na

dwóch wyspach, a znaczną jéj część wygubiły w Meksyku.

Uznano przytém nierówność stanów i oddzielono szlachtę meksykańską do ogólnéj massy krajowców, przypuszczając ją do przywilejów szlachty kastylskiéj. Z dobrodziejstwa jednak tego nie korzystali, i odstrychnąwszy się od Hiszpanów, złączyli się z ludem i przyjęli jego tryb życia. Wpływ oświaty byłby z czasem zwalczył to odosobnienie, lecz nieufność Hiszpanów nie dozwoliła na jéj rozszerzanie, i massa krajowców została w ciemnocie, a szlachta zrównała się z gminem.

Była jeszcze w Meksyku rassa białych zwanych Kreolami, nie mających w sobie ani kropli krwi meksykańskiéj lub murzynów.

Każde państwo europejskie przy zakładaniu wielkich osad w Ameryce urządzało je podług własnych instytucji. Nie postąpiono tak w Ameryce hiszpańskiéj, bo władza monarchiczna nigdzie nie doszła do tego stopnia, co w Hiszpanji.

Inkwizycja święta skruszyła w nich opór, stłumiła wszelką działalność myśli i rozpostarła milczenie grobowe. Polityka rządu hiszpańskiego w Meksyku, opierała się na zasadzie, aby kłócić różne stany i klassy, a przez to zniszczyć wszystkie usiłowania oporu i zjednoczyć władzę w ręku kilku osób wprost ze stolicy przysłanych.

Najważniejszym jednak środkiem do utrzymania posluszeństwa w osadach, było bezwarunkowe pierwszeństwo nadane rodowitym Hiszpanom, a wyłączenie białych Kreolów. Właściwi więc Hiszpanie tworzyłł oddzielną klassę, z któréj wyłączone były nawet ich własne dzieci dla tego, że urodziły się w Meksyku i stawały się Kreolami. Sami tylko rodowici Hiszpanie mogli posiadać urzędy, a prawo to przeciwne naturze, długie lata utrzymujące się w Meksyku, rozdzielało ojca od dzieci, brata od brata, jeżeli jeden urodził się w Hiszpanji, a drugi w Meksyku.

Kreolowie przez długie wieki obojętnemi byli na to usunięcie ich od wszelkiego udziału w zarządzie kraju. Zbogacali się i oddawali się zmysłowym rozkoszom, a rząd nie omieszkał pochlebiać ich próżności. Tytuły szlacheckie nadawano tym którzy zebrali wielki majątek, a patenta na oficerów milicji przedawauo po prostu za bardzo wysoką cenę.

Wyswobodzenie osad angielskich i utworzenie Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj, rozbudziło Meksykanów pojętniejszego i bystrzejszego umysłu i innych poddanych Hiszpanji. Wielki ten wypadek dokonany w pobliżu Meksyku, zdziwił Kreolów i dostarczył nieznanej podniety dla ich wyobraźni. Ciągle wzrastająca pomyślność Stanów Zjednoczonych, ich coraz większe znaczenie w świecie, jeszcze bardziéj rozwinęło ich myśli. Zaczęli się starać o książki europejskie, a za pieniądze dostali ich pomimo zakazu i czuwań Inkwizycji, czytali je ukradkiem i tym sposobem nabyli wyobrażeń o swoich prawach i sile. Władze hiszpańskie nie zważały na to, a zajęte dumą i osobistemi korzyściami nie pomyślały o nadanin Kreolom praw przez siebie przywłaszczonych.

Ekonomiczny systemat jaki istnjał we wszystkich posiadłościach europejskich w Ameryce, opierał się na téj zasadzie, że kolonje służą do samego tylko pożytku metropolji i nie mogą miéć innego przemysłu i handlu, prócz tylko tego, jaki jest dogodny dla metropolji. Zabraniano więc zakładania fabryk, aby zapewnić odbyt wyrobom narzuconéj matki ojczyzny. Hiszpania najsurowiéj trzymała się tego systematu.

Do osad niedopuszczano cudzoziemców i wszelkie produkta pochodziły z Hiszpanji. Żeby przeszkodzić wprowadzaniu bawełnianych wyrobów angielskich, w Meksyku zniesiono fabryki. Żeby zapewnić odbyt winom hiszpańskim, pod pozorem że mieszkańcy rozpajają się winem, wytępiono winnice pozakładane w Meksyku. Żeby różnym wyrobom fabrycznym w Hiszpanji, zapewnić odbyt osłaniając się niby zabezpieczeniem ludności od krzywdy i uciemiężenia fabrykantów, ograniczono liczbę fabryk i zamykano je za lada przekroczeniem. Chciano nawet zabronić uprawy bananów, najtańszego pożywienia krajowców, pod pozorem, żeby ich zachęcić do uprawy kukurydzy. Ale konieczność utrzymania przynajmniéj 30,000 strażników, barbarzyństwa tego wprowadzić wwykonania nie pozwoliła.

Duchowieństwo w Meksyku jako w kraju wyłącznie katolickiem było liczne, potężne i w ostatnich latach panowania Hiszpanów dziedziczyło połowę gruntów całego kraju. Arcybiskup meksykański miał około 1,400,000 złp. dochodu, biskup z Valladolid około miljona złp. gdy dochód proboszczy po wsiach nie przenosił złp. 1,200.

Klassy krwi mieszanéj pochodzące z połączenia krajowców z białemi, a w małéj części z połączenia negrów z temi dwiema rasami, nie w lepszym zostawali bycie co krajowcy czystéj rasy. Owi mieszańcy także byli upodleni w obliczu prawa, opłacali daninę, a lubo ich nie uważano jako zostających w ciągłéj małoletności, cierpieli wiele krzywd i zdzierstw, popełnionych wbrew prawu, przez panującą kastę Europejczyków.

Metysowie ci mniéj jednak obawiali się i mniéj szanowali białych, aniżeli Meksykanie rodowici,

czyli Indjanie jak ich wówczas, nazywano. Więcéj także zepsuci niecierpliwiéj znosili upokorzenie swoje. Dotąd jest jeszcze w Meksyku nazwa malująca stanowisko Indjan. W stosunku do nich, białych zwano *gente de rason*, to jest plemieniem rozumném, Indjan zaś uważano jako nie mających rozumu i tym sposobem usprawiedliwiano ich poniżenie. Mieszańcy zaś liczeni byli do ludzi mających rozum.

Metysi nie mogąc na dobre używać swego rozumu i wolność obracali go na złe. Kradzież i rozboje, były najczęściéj ich sprawą. Z tego powodu, gdy poseł francuzki w Meksyku wyjechał z rodziną swą do północnych prowincji, o kilka mil od jeziora Chapala, wywiadywał się o rozbójnikach.

— „Nie bój się pan, odpowiedziano mu, bo w naszéj okolicy nie ma kasty rozumnéj.”

Jakżeż okropne szyderstwo rozumu i cywilizacji!

(d. c. n.)

SZARADA.

Z pierwszéj trzeciéj czasem jecie,
Druga wspak litera, stoi w alfabecie;
Wszystek dzierżył tu koronę,
Niechętny gościnnym progom,
Uszedł wkrótce w swoją stronę,
Dając kraj na pastwę wrogom.

F. W.

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Obwódki**).

Opisywaliśmy już w jedném z poprzednich numerów naszego pisma zimowe płaszczyki, burnusy i paletoty, z magazynu pana Szlenkera, dziś dodamy jeszcze kilka słów o okrywkach które nadeszły do tegoż składu, po sprawozdaniu naszém. Między innemi uważaliśmy paletoty z wyrobu naśladującego futro baranka, nadzwyczaj ciepłe a do tego lekkie, bez żadnéj ozdoby. spięte tylko na rząd lawowych guzików.

Podobał się nam także paletot z ciepłego bristolu, z szerokiemi spadającemi rękawami, które zszyte były jak kapturek, zostawiając tylko wolny otwór na przesunięcie rąk. Na zszyciu rękawa dane były rzędem nie wielkie kwasty jedwabne. U szyi, naszyta była pasmanterja, naśladująca kołnierz.

Jako nowość tegoroczną zapisujemy także watowane salopki z peleryną, podbite pikowanym fularem. Uważaliśmy w tymże magazynie, taką salopkę, z kaszmiru w kratkę szkocką. Peleryna w kształcie wielkiéj chustki zakończona była frendzlą sznelową.

Ładne téż są kaftaniczki do codziennego ubrania, czarne i pluszowe na jedwabnéj podszewce, i inne z ciepłego wyrobu wełnianego, ubrane skromnie pletnią i guzikami. Z pomiędzy ozdobniejszych, zwrócił naszą uwagę czarny kaftanik korcikowy, wyszywany szeroką pletnią w rozety z pod otwartych przodów wychodziła jedwabna kamizeleczka spięta na dwa rzędy guzików lawowych.

Zasługują również na wzmiankę ładne, koszulki pod kaftaniki, w nowym zupełnie rodzaju, haftowane białym lub czarnym jedwabiem. Rękawy u nich wązkie przystające do ręki. Cena ich umiarkowana, dostanie bowiem takiéj koszulki od złp. 33 gr. 10.

Pan Szlenker sprowadził także z zagranicy wiele gotowych sukien, i spódniczek z zuawkami które dadzą się zastosować do każdéj figury. Opiszemy je tu szczegółowo.

Spódniczka gładka z ciężkiéj tkaniny wełnianéj popielatej w czarny marmurek. Do niéj kaftaniczek postyljoński z karoczkiem i kamizelką, w koło objęty grelotkami, a powyżéj wązką ruszką z czarnéj wstążeczki. Kamizelka spięta ua guzik lawowe.

Spódnica gładka ż podobnego wyrobu popielatego i kaftanik grecki objęty plisą mantynową z pod któréj wychodzą pukle z aksamitki. obszyte z obu stron koroneczką. Rękawy ścinane, prawie do ręki, przybrane odpowiednio; epolety złożone z kilku spadających pukielków. Kamizelka osobna spięta na guziki, na spódnicy kieszonki przybrane aksamitką.

Gabrjela popielata w marmurek, zapinana na aksamitne guziki. Na niéj oznaczony jakby krótki paletocik aksamitką naszytą w zęby i takiemiż guzikami.

Szlafrok negliżowy popielaty *chinée* z czarnym kulisty spuszczany tak z przodu jak i w tyle w górze przyfałdowany do karczka, w stanie obciśnięty paskiem. U dołu spódnicy po bokach, wpuszczony wolant nadpowietrzny, szeroki przynajmniéj na łokieć. Przody spięte na rząd czarnych aksamitnych guzików. Po bokach kieszonki przybrane stosownie. Do tego pelerynka czworograniasta, obszyta falbanką w kontrafałdy, na każdym fałdzie guzik aksamitny.

Szlafrok negliżowy z flanelki w szkocką kratę, spuszczany, wszyty do karczka, w kontrafałdy. Z przodu plisa mantynowa, na niéj rząd wielkich

wielkich metalowych guzików. Pelerynka okrągła dosyć duża, podbita czarnym fularem, zakończona frendzlą czarną z jedwabnéj szneli.

Do magazynu pana Tonnesa nadeszły bardzo ładne kołnierzyki z rękawkami w rozmaitych fasonach od złp. 20 do złp. 33 gr. 10. Dostanie także kołnierzyków z mankiecikami bez szmizetek i rękawków po złp. 10. Rękawki do mankietów kraja się obecnie tak jak rękawy do sukien skośno, zeszywane przez łokieć i tak wązko, że się zupełnie nie przymarszczają do mankieta. Tenże magazyn zaopatrzony jest w ładne kaftaniczki z pluszu fryzowanego; w kaftaniczki greckie z brystolu dochodzące tylko do stanu obszyte ruszą tybetową z wystrzyganemi ząbkami, w kaftaniczki jedwabne na wacie, pikowane całe w kratę. Cena ich wynosi od złp. 80 do 100.

Podobały nam się także sukieneczki dziecinne w szkocką kratkę. Jedna z nich miała u dołu spódniczki szlak z szafirowego tybetu. Staniczek gładki z wyrobu sukni i pasek z bawecikami szafirowy przyozdobiony czarnemi guziczkami. Na wierzch przeznaczony był krótki kaftaniczek wcinany do figury z przodu mocno otwarty i zaokrąglony. Dla dzieci najwięcéj widzieć się daje sukien w kratę lub gładkie szafirowe. Widzieliśmy także dla osób dorosłych mitenki włóczkowe, z długiemi mankietami które w zimie kładą się na rękawiczki skórkowe. Cena takich z mankietami jedwabnemi podszyte flanelką złp. 18, całkowite z włóczki nierównie tańsze.

Kapturków włóczkowych dostać można po złp. 20, angorowe dochodzą do 26 gr. 20.

Nowości Zagraniczne.

Magasin des demoiselles. Paltot *Aladin* przystający do figury i rotonda, są najwięcej używanemi okrywkami. Paltot robi się najczęściéj z materji *gros-grain* albo aksamitu czarnego, fijołkowego, szafirowego lub tak zwanego koloru *hawana*; rotonda bywa z sukna, pluszu, aksamitu i tkaniny zwanéj *drap-velour*, sukienna szkocka rotonda obecnie tak bardzo noszona, zapewnie mniéj będzie używaną w zimie, chyba by robioną była z innych materjałów jak aksamit, plusz, lub sznella.

Do garnirowania używa się najwięcéj ozdób szmuklerskich, potém idą wązkie gipiury na płask przyszyte, lub nieco nadmarszczane, jak niemniéj wszywki gipiurowe i koronkowe, frendzle, bombelki sznelowe, haft szydełkiem, i aplikacja z sukna lub materji.

Co do formy sukien zauważyliśmy że oprócz stanika pocztyljońskiego dają w jego miejsce na plecach długi bawet. Przód zaś zawsze tworzy kamizeleczkę wygarnirowany najczęściéj w kształt bawetu. Do sukien strojnych używają z tyłu szarfę ze wstążki lub materji; bywa ona niezmiernie szeroka ozdobiona ruszą, wstawką koronkową i t. p. Rękawy prawie wszystkie są z epoletami i coraz to węższe, tak że tylko ręka wolno przejść może. Wiele spódnic robi się gładkich zupełnie tylko z obrębem szerokim na 20 do 30 centymetrów. Niekiedy są po prostu zapięte od dołu do góry na stalowe lub szmuklerskiéj roboty guziki. Dla młodych panien i panienek lub do sukien strojnych stanik *corselet* lub *szwajcarski* zawsze bywa bardzo używany; noszą go z szelkami lub bez nich, w ząb lub kwadrat, rzadziéj z aksamitu jak z takiéj jak suknia tkaniny.

Opis ryciny.

N. 1. Suknia ciemno orzechowa wyszyta u dołu w słupy pasmanterją czarną, przerabianą z lawą i grelotkami, prócz tego desenik idzie na około spódnicy. Stanik z kamizeleczką i karoczkiem z tyłu, odpowiednio przybrany. Rękawy wpół otwarte tak zwane *à coude*, z wyszytym epoletem. Kapotka czarna jedwabna ubrana aksamitem fijołkowym.

N. 2. Gabrjela z popielatéj popeliny objęta czarnym aksamitem. Siatka jedwabna z aksamitnym ubraniem. Kołnierzyk i mankiety webowe.

N. 3. *Ubranie 7-mio letniéj panienki.* Suknia z pekinu wełnianego, szafirowa w paseczki czarne naszyta pliskami jedwabnemi albo aksamitką. Płaszczyk angielski z sukna czarnego albo flanelki gładkiéj lub w krateczkę objęty aksamitem; faldy na plecach przyozdobione rozetą aksamitną. Kapelusz kastorowy z piórkiem pawim.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Dodatek do Nru 47 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 21 Listopada 1863 roku.

JAN HALIFAX

POWIEŚĆ M.ss MULLOCH

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO.

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dalszy ciąg.)

To mówiąc ukazała szeroką kryzę na szyi, zwykle sztywną jak róg, dziś oklapłą i wygnieciona. Biedna Joanna! wiedziałem, że ta ofiara wiele ją kosztowała, nie mogłem jednak wstrzymać się od uśmiechu. Ojciec rozśmiał się także.

— Szydzicie ze mnie, zawołała z gniewem, łatwo ciskać kamieniem na drugich, choć każdy z nas nie bez grzechu.

To mówiąc Joanna przystąpiła z powagą do ojca, i wskazała głowę jego ubieloną pudrem. Zniósł cierpliwie tę napaść.

— Uspokój się kobieto, rzekł z powagą.

— Nie! zawołała Joanna, nie uspokoję się dopóki biedny lud z Norton-Bury mrzeć będzie od głodu, a dopóki bogacze nie zechcą sprzedawać zboża po cenie umiarkowanéj.

Ojciec uczuł gwałtowny ból w nodze, byłaż to podagra, czy też wyrzut sumienia? Joanna odprawiła domowników, i pilnowała chorego ze zwykłą troskliwością. Gdy cierpienie cokolwiek minęło, przeszedł do sali, i siadł w wielkiém krześle.

— Mój synu rzekł, garbarnia źle idzie, spodziewałem się, że młyn powetuje mi straty, lecz się w tém zawiodłem. Czy przykro ci będzie mój kochany, jeśli odziedziczysz mniejszy spadek po mojéj śmierci.

— Nie mówmy o tém ojcze!

— A więc za kilka dni zacznę sprzedawać zboże tak, jak ten chłopak radzi mi od dawna. To sprytna głowa; a ja starzeję się widocznie, może on ma i słuszność.

— Któż to taki, zapytałem, udając że się niczego nie domyślam.

— Jan Halifax, i któżby inny.

Nie rzekłem na to ani ani słowa; postanowiłem jednak, iż upiekę mój chleb przytym ogniu.

Nazajutrz ojciec poszedł jak zwykle do garbarbarni; przepędziłem ranek w moim pokoju, z którego okna wychodziły na ogród. Widziałem tylko dzwony, opactwa, nie wiedząc, co się dzieje na bożym świecie! w godzinie obiadowéj zszedłem do jadalnéj sali. Czekałem na ojca parę godzin! Dziwna rzecz, nie chybił nigdy o minutę, w skutek nalegania Joanny, posłałem Jerzego do garbarni, aby się dowiedział o panu.

Przyniósł zatrważającą wiadomość. Wązka uliczka prowadząca do garbarni, zapełniona była wściekłym ludem. Cierpliwość biednych z Norton-Bury zużyła się do reszty; poszli za przykładem innych: wygórowana taksa chleba, spowodowała zaburzenie.

Bóg jeden zna całą okropność owych burzliwych ruchów, kiedy zrozpaczony lud powstaje, wiedziony, nie krwawym patryotyznem, lecz w celu zdobycia chleba dla głodnych żon i dziatek. Bóg jeden wié, co się działo w sercu tych nieszczęśliwych, zwanych *motłochem*, kiedy chwytali za broń, mówiąc sobie, że ich czeka dwojaka ostateczność, śmierć z głodu, lub śmierć na szubienicy!

Nie całe jednak miasteczko powstało, znaczna bowiem część ludności, chorowała na gorączkę i ospę. Jerzy mówił nam, że garbarnia i młyn głównem były ogniskiem zamieszania.

— Gdzież jest mój ojciec, pytałem?

— Jerzy nie wiedział, i nie wiele dbał o to.

— Joanno, poślijże kogo natychmiast.

— Idę sama, odrzekła, nasuwając kaptur od mantyli na głowę.

Poszedłem za nią, mimo jéj nalegania, żebym wrócił do domu.

Garbarnia była pusta, tłum przeniósł się do

młyna. Zapytałem drżący kobiety, która łupała korę, czy nie widziała ojca mego. Odpowiedziała, że poszedł zapewne po policją.

— Ale, dodała, pan Halifax jest w młynie, spodziewam się, że on bezpieczny!

Czekałem na ojca. Nie sądziłem, aby miał iść do młyna, gdzie go Janek zastępował! Joanna usiadła pod wystawą: poszedłem ku bramie dziedzińca, zkąd widać było młyn, jak na dłoni. Minuty wlokły się żółwim krokiem; ubiegło pół godziny. Znużony siadłem wreszcie na stosie kory, gdzie spoczywałem niegdyś koło Janka.

On ma teraz przeszło lat dwadzieścia, pomyślałem, radbym wiedział, czy się téż odmienił.

O mój Janku, mój Janku, coby ze mną było gdyby cię spotkało nieszczęście!

Głuchy szmer dobiegał od miasta, nagle posłyszałem odgłos kroków, ktoś przechodził dziedziniec. To nie ojciec, onby nie szedł tak spiesznie. Powstałem.

— To ty Fineas!

— To ty Janku!

Przyskoczyliśmy do siebie, i powitali serdecznym uściskiem. Z radością patrzyłem na niego. Rysy twarzy wcale się nie zmieniły, zmężniał tylko i wyrósł. Był to już człowiek, w całém znaczeniu.

— Przez chwilę oddani radości, zapomnieliśmy o wszystkiem.

— Gdzie twój ojciec? zapytał wreszcie Janek.

— Nie wiem, mówią że poszedł po policję.

— O nie! Onby tego nie uczynił. Pójdę go szukać. Bądź zdrów!

— Janku! Janku! wołałem.

— Nie mogę zostać dłużéj, odrzekł stanowczo, nie mogę, póki ojciec nie cofnie zakazu. Muszę odejść.

I oddalił się żywo.

Lubo serce moje oburzało się na Janka, rozum pochwalił jego postępowanie; pytałem sam siebie, jakim sposobem on, który nigdy nie znał ojca swego, szanował tak obowiązek synowskiego posłuszeństwa.

Kilka minut potém Janek powrócił z ojcem do garbarni. Janek mówił żywo, ojciec słuchał go, lecz zdawało się, iż nie podziela jego zdania. Niespokojny, ale nieugięty jak kamień, biedny starzec stał, oparłszy chorę nogę na skórach. Poszedłem ku niemu.

— Fineas, pomóż mi, zawołał Janek błagalnie. Panie Tletcher, rzekł, dostrzegłszy podejrzliwy wzrok ojca, spotkaliśmy się dopiéro przed chwilą, i zamienili tylko słów parę. Ale nie ma tu czasu do stracenia. Fineas, proś ojca niech się stara ocalić resztę mienia swego. On nie chce odwołać się do sądu, bo jest kwakrem, i nie znalazłby może sprawiedliwości.

— Byłoby to napróżno, rzekł ojciec z goryczą.

— Ale pan możesz bronić własności, przez drugich, a sam nie chodzić do młyna.

— Pójdę! zawołał ojciec, uderzając laską w ziemię, i zwracając się ku młynowi.

Chwyciłem go za rękę.

— Ojcze! nie chodź, błagałem.

— Mój synu, rzekł zwracając na mnie wzrok nieprzebłagany, nie przeszkadzaj mi próżno. Gdyby ci ludzie byli zaczekali dwa dni jeszcze, byłbym im sprzedał wszystko zboże za połowę ceny; dziś nie otrzymają nic; nauczę ich rozumu! Wracaj do domu mój kochany, i ty Joanno idź z nim także.

Żadne z nas nie posłuchało: Janek zatrzymał mnie o parę kroków.

— On ustąpi, rzekł mi do ucha, będzie musiał ustąpić. Co do mnie będę czuwał nad nim, wy zaś idźcie do domu.

Nie mogłem tego uczynić; zresztą nie było czasu do namysłu. Janek poszedł za ojcem, ja także udałem się za niemi. Joanna znikła mi z oczu.

Wązka ścieszka prowadziła z garbarni do młyna; poszliśmy nią w milczeniu. Po drodze nie spotkaliśmy nikogo, ale głośna wrzawa rozlegała się ponad rzeką. Lud rozwalał murowany parkan od naszego ogrodu.

— Myślą, że on w domu, rzekł po cichu Janek, tym łatwiéj dostaniemy się do młyna.

Przeszliśmy co żywo mały mostek. Janek dobył klucza z kieszeni, i wprowadził nas boczną furtką do młyna! Furtka ta zaryglowana była na trzy żelazne sztaby.

Wnętrze młyna ponurą przedstawiało postać Weszliśmy po drabinie na piérwsze piętro, gdzie ojciec przechowywał worki ze zbożem. Było ich tam wiele, bardzo wiele i dość, aby w tych czasach zrobić na nich ogromny majątek.... Majątek przeklęty, okupiony życiem tysiąca ludzi!

— O! czyż podobna, aby ojciec.,.. zawołałem....

— Cicho Fineas, szepnął Janek; czynił to przez miłość dla syna!

Podczas kiedy ojciec, obliczał z przykrym uśmiechem te worki zboża niesłychanéj wartości; dało się słyszeć gwałtowne kołatanie. Zgłodniała tłuszcza przybiegła, a uderzając o młyn kamieniami, miotała straszne obelgi i klątwy. Jeden strzał z pistoletu byłby ich rozproszył w mgnieniu oka, ale zasady ojca sprzeciwiały się, użycie palnéj broni. Głos ich brzmiał przeraźliwie.

— Znieście tu worki, potrzeba nam chleba!

— Rzuć nam twoje zboże Abel Tletcher!

— Abel Tletcher miałby wam rzucić zboże nikczemnicy? zawołał ojciec, wychylając głowę przez okno.

— Okrzyk fryumfu i klątwy, odpowiedział na te słowa.

— O dobrze panie Tletcher! dzięki ci za to, wołał Janek; wiedziałem, że tak uczynisz w końcu.

— Ha! wiedziałeś o tém rzekł ojciec szyderczo.

— Tak! wiedziałem że tak uczynisz, nie z bojaźni jednak, nie dla ocalenia życia, ale że tego wymaga sprawiedliwość.

— Pomóż mi unieść ten worek, odrzekł ojciec.

Worek był ciężki, ale nie zbyt ciężki dla Janka, podniósł go bez trudności.

— A teraz otwórz okno, potłucz szyby jeśli potrzeba.

— Lecz worek wpadnie w wodę. To nie podobna, okropna myśl....!

— Dzwignij go do okna Halifax! przerwał ojciec groźnie.

Janek stał nieporuszony.

— A więc zrobię to sam.

I podniósł worek z rozpaczliwém wysileniem, ale ciężar spadł na chorą jego nogę. Strasznym bólem, przywiedziony do szału, z gorączkową siłą pochwycił znów worek, i wmgnieniu oka, usłyszeliśmy plusk w rzece.

Tak jest, rzucił w rzekę, to drogocenne zboże, w obec tylu zgłodniałych. Wściekły okrzyk rozpaczy dał się słyszéć. Niektórzy wskoczyli w wodę, niestety zapóźno. Worek pękł uderzywszy o kamień i niebawem tysiące ziarn ukazało się na powierzchni bystréj rzeki. Śmielsi uchwycili po parę garstek zboża, ale rzeka płynęła bystrym prądem, i uniosła wszystko w jednéj chwili. Pozostało tylko trochę ziarn, przylepionych do worka, który wywleczono na brzeg wody.

Przerażający to był widok!

Janek przysłonił oczy; przebacz mu Boże zawołał drżącym głosem.

Ojciec siadł na jednym z worków wyczerpany widocznie, tak moralném jak fizyczném cierpieniem. Ochłonąwszy z gniewu, zrozumiał dopiéro, co uczynił.

Gorzki wyrzut sumienia odbił się wyraźnie w zmienionych jego rysach.

Janek spojrzał nań, i odwrócił głowę. Wrzawa wzmagała się coraz bardziéj.

— Panie! chodźmy zawołał, nie ma już chwili do stracenia. Spalą młyn niewątpliwie.

— Niech sobie palą rzekł ojciec.

— Niech palą, a Fineas tu! przerwał Janek.

Biedny ojciec, sprowadziliśmy go na dół. Noga bolała go okropnie. Twarz miał bladą, zmienioną cierpieniem: nie wyrzekł słowa, nie jąknął ani razu.

Młyn zbudowany był na palach, w środku wązkiéj rzeki. Most prowadzący do niego, miał z każdéj strony, długości zaledwie kilka kroków. Główne drzwi od młyna wychodziły na Norton-Bury, lud zgromadził się po przeciwnéj stronie.

Przeszliśmy niespostrzeżeni przez mostek, i dostali się na steczkę prowadzącą od młyna do garbarni.

— Daj mi rękę rzekł Janek, trzeba nam się pospieszyć.

— Czy wracamy do domu? spytał ojciec, powolny jak dziecko.

— Nie panie! oni tam będą przed nami! Nie byłbyś tam bezpieczny, chyba, że poślemy po wojsko.

Ojciec wstrząsnął głową, surowy kwakier nie chciał odstąpić od swych zasad, nawet w chwili niebezpieczeństwa.

Więc potrzeba się ukryć na czas jakiś. Chodź pan do mnie, będziesz tam pewny. Fineas nakłoń ojca, idzie tu o was obu.

Biedny ojciec, nie miał już własnéj woli. Pochwycił rękę Janka i moją, i opiérał się na nich. Prowadziliśmy go gdzieśmy chcieli.

Wkrótce byliśmy na poddaszu w domu Sally Watkius, gdzie Janek ciągle mieszkał.

Sally wyszła do miasta. Nikt wie widział nas wchodzących prócz Jerzego, na któregę można było liczyć.

— Musicie pozostać rzekł Janek, poprawiając łóżko dla ojca, i podając mi płaszcz własny. Uspokój się pan i prześpij panie Tletcher Jerzy przyniesie wieczerzę i światło.

Dobrze, odparł ojciec.

Janek mówił w sposób stanowczy, ale pełen uszanowania: ojciec odpowiadał spokojnie.

— A ty Fineas, myśl także o sobie dodał obejmując mnie przez pół. Czyś teraz mocniejszy jak dawniéj?

— Za całą odpowiedź uścisnąłem mu rękę.

— Wszystko będzie dobrze, myślałem w duszy, skoro mi mój Janek powrócony!

— Żegnam was, muszę odejść rzekł.

— A gdzie? zapytał ojciec wychodząc nagle z osłupienia.

— Chcę ocalić dom i garbarnią. O młynie myśleć już nie podobna. Nie wstrzymuj mnie Fineas; jestem bezpieczny! Wszyscy mnie znają w mieście. Czuwaj nad ojcem, nie długo wrócę do was.

Podał mi rękę, w mgnieniu oka zbiegł ze schodów. Pociemniało mi w oczach, kiedy odszedł.

Wieczór wlókł się pomału. Ojciec wyczerpany cierpieniem, porzucił się na łóżko i drzymał. Ja siedząc w oknie, poglądałem w niebo zasiane gwiazdami. Wszystko co zaszło, nagle znikło mi z pamięci; pamiętałem tylko, jak przed laty dwoma, czytaliśmy Szekspira w temże oknie.

Nim noc zapadła, obejrzałem się w koło. Pokoik Janka zupełnie się odmienił; sprzęty nie równie były porządniejsze, jak dawniéj. W kącie stały pólki pełne książek; po większéj części naukowych i praktycznych. Z poetów jeden tylko był Szekspir.

Widocznie poświęcał się naukom mechanicznym. Widziałem teleskop oparty o okno, skierowany wgórę. Miniaturowe modele rozmaitych narzędzi i warsztatów, leżały rozrzucone na ziemi. Spostrzegłem na krzeslc maleńki warsztat tkacki, a na nim kawałek zrobionego sukna.

Przyglądałem się temu wszystkiemu, nie zważając, że ojciec obudził się, i poglądał na wszystko badawczém okiem.

— Chłopak pracuje, rzekł do siebie; pojętna to głowa, zajdzie kiedyś daleko.

Uśmiechnąłem się, udając, że nie słyszę. W miasteczku nie było spokojnie, ilekroć otworzyłem okno, dobiegała z zewnątrz głośna wrzawa. Drżałem, myśląc o Janku, zaspokajało mnie tylko przekonanie o jego odwadze i roztropności.

Jerzy przyniósł wieczerzę, lecz nie mógł powiedzieć nam, co zaszło. Stał bowiem ciągle na schodach z rozkazu Janka. Ojciec nie pytał nawet o młyn, przerażony tém, co uczynił. Pomięć téj chwili, ścigała go odtąd bezustannie!

Zapytałem chłopca, jak się powodzi jego matce.

— Bardzo dobrze odparł, pan Halifax płaci jéj drogo, ona też czuwa żeby miał wszelką wygodę. Wprawdzie on mało wymaga, bo rzadko kiedy siedzi w domu.

— A wieczorem co robi?

— Uczy się, rzekł Jerzy z powagą. To człowiek bardzo mądry. A przytém on taki dobry dla nas. Jak ma wolną chwilą uczy nas czytać mnie i małego Karolka.

— Każ mu odejść rzekł ojciec, obracając głowę do muru.

Spełniłem rozkaz, zapytałem tylko po cichu Jerzego, czy nie wie, jak prędko pan Halifax powróci.

— Mówił, że zapewne nie wróci do rana. Zostanie całą noc w garbarni, albo we dworze, z obawy, żeby ci hultaje nie podłożyli ognia.

Ojciec zadrżał.

— Mój dom... moja garbarnia... wołał wstanę natychmiast, pomóżcie mi!... Mam przecież ze dwódziestu robotników. I zaczął się ubierać, lecz zabrakło mu siły. Położyłem go w łóżko.

— Mój synu, rzekł z boleścią, patrz, twój ojciec tak słaby jak ty.

Przebyliśmy okropną noc: ojciec zrywał się co chwila, za najmniejszym odgłosem, lub powtarzał przez sen niezrozumiale słowa.

Co do mnie modliłem się w milczeniu. Tak ubiegła większa część nocy.

VIII.

Zegar na wieży wybił dwunastą. Po północy ojciec zasnął twardo, dziękowałem szczerze Bogu! Co do mnie nie mogłem zasnąć, serce biło mi gwałtownie, mimo tego uczułem w sobie niezwyczajną moc duszy, i téj nocy wiedziałem, że jestem człowiekiem.

Mój ojciec sypiał zwykle bardzo mocno, wiedziałem, że się nie obudzi do rana, nie byłem mu więc potrzebny. Zszedłem po cichu do kuchni, gdzie Jerzy zdrzymnął się przy gasnącem ognisku. Dotknąłem go lekko; zerwał się, porwał mnie za kołnierz, i o mało, że nie przewrócił.

— O przebacz mi pan, zawołał ze łzami w oczach. Myślałem, że który z tych łotrów.

— Gdzie pan Halifax?

— Alboż ja wiem panie! Odchodząc powiedział tylko.

„Jerzy zostaniesz tu;” Gdyby nie to, byłbym poleciał za nim.

— Daj mi twoję suknię i kapelusz, pójdę po niego.

— Jerzy otworzył usta z podziewania, podając mi jednak wszystko, czegom żądał.

— Wolno panu czynić co się podoba, ale pan Hailfax kazał mi zostać, i zostanę.

Wyszedłem, Jerzy zaryglował drzwi. Na ulicy zupełnie było pusto; tylko pod latarnią spostrzegłem dopalające się konopie, napuszczone żywicą. A więc chcieli podpalić! O Boże! cóż się stało z domem? gdzie Janek?

Biegłem co sił, zdaleka słyszałem głuchy szmer połączonych głosów; a jednak nie było nikogo na ulicy, oprócz stróża nocnego.

(d. c. n.)



Jan Ciemniewski Litograf.

№ 105.

TYGODNIK MÓD